Czesław Kulesza

W polskiej polityce coraz trudniej rozmawiać o przyszłości bez rozmowy o wojnie. Kolejne zakupy uzbrojenia, rosnące wydatki wojskowe i zapowiedzi nowych inwestycji zbrojeniowych stały się niemal codziennością. Politycy prześcigają się w zapewnieniach o odpowiedzialności za państwo, a wątpliwości dotyczące kierunku tej polityki bywają traktowane jak przejaw naiwności, braku patriotyzmu albo sprzyjania obcym interesom. Nie sposób ignorować zagrożeń, szczególnie po rosyjskiej agresji na Ukrainę. Państwo musi umieć bronić swojego terytorium i obywateli. Trudno jednak nie zauważyć, że rozmowa o bezpieczeństwie coraz częściej sprowadza się do liczby czołgów, samolotów i procentów PKB przeznaczanych na wojsko. Znacznie rzadziej pada pytanie, jakie państwo zamierzamy w ten sposób chronić i jak mają w nim żyć ludzie.

Bezpieczeństwo człowieka nie kończy się przecież na granicy państwowej. To również możliwość utrzymania rodziny, dostęp do lekarza, mieszkanie, którego czynsz nie pochłania połowy wynagrodzenia, i przekonanie, że starość nie będzie oznaczała biedy. Tymczasem państwo potrafi znaleźć miliardy na kolejne kontrakty zbrojeniowe, ale przy podwyżkach najniższych płac zaczyna z wielką troską liczyć każdą złotówkę. Nie chodzi o przeciwstawianie armii szpitalom czy szkołom, lecz o proporcje i o to, dlaczego jedne wydatki uznaje się za bezdyskusyjne, podczas gdy inne muszą nieustannie udowadniać swoją zasadność. Militaryzacja ma przecież również swoją ekonomię. Na zamówieniach wojskowych zarabiają wielkie koncerny i pośrednicy, a koszty ponosi społeczeństwo, także w postaci zadłużenia i presji na ograniczanie innych wydatków. Nie każdy kontrakt zbrojeniowy jest niepotrzebny, ale każdy powinien podlegać takiej samej kontroli jak wydatki na zdrowie, edukację czy mieszkalnictwo.

Dochodzi do tego kwestia pokoju i praw człowieka. Lewica nie powinna mieć trudności z potępieniem rosyjskiej agresji na Ukrainę, zbrodni popełnianych na Palestyńczykach czy przemocy wobec ludności cywilnej w innych częściach świata. Nie powinna też akceptować sytuacji, w której prawa człowieka obowiązują jednych bezwarunkowo, a innych dopiero po sprawdzeniu narodowości, religii lub politycznych sympatii. Podobny problem pojawia się na polsko-białoruskiej granicy, gdzie dramat ludzi szukających schronienia zbyt łatwo znika za językiem bezpieczeństwa państwa. Prawa człowieka albo są powszechne, albo stopniowo stają się przywilejem przyznawanym przez silniejszych. Dotyczy to również prawa do pokoju, choć nie oznacza przyzwolenia na agresję ani odbierania napadniętym prawa do obrony. Właśnie lewica powinna umieć mówić jednocześnie o bezpieczeństwie i dyplomacji, obronie państwa i kosztach militaryzacji, solidarności z ofiarami i odpowiedzialności tych, którzy prowadzą wojny.

W takiej atmosferze polska lewica przygotowuje się do kolejnych wyborów parlamentarnych. Można byłoby oczekiwać poważnej rozmowy o przyszłości państwa, miejscu Polski w Europie i sposobach poprawy życia ludzi pracy. Zamiast tego coraz częściej oglądamy publiczne utarczki pomiędzy Nową Lewicą a Razem. Pretekstem do tych rozważań stał się tekst Jana Woźniaka „Spory na lewicy i «samozadowolenie» rządu", poświęcony między innymi wymianie zdań pomiędzy Adrianem Zandbergiem a Agnieszką Dziemianowicz-Bąk. Spór dotyczył projektu budżetu na 2027 rok, przewidywanej inflacji i wysokości najniższych wynagrodzeń. Zandberg zwrócił uwagę na sytuację pracowników, których płace mogą nie nadążyć za rosnącymi kosztami życia. Ministra pracy odpowiadała, że prognozowana inflacja wynosi 2,8

procent, a płaca minimalna ma wzrosnąć o 3 procent. Rachunek na pierwszy rzut oka wygląda korzystnie dla rządu. Tyle że nawet przy spełnieniu tych założeń realny wzrost wynagrodzenia wyniósłby zaledwie około dwóch dziesiątych procenta. Trudno sobie wyobrazić, aby pracownik odczuł taką poprawę podczas codziennych zakupów. Oficjalna inflacja nie mówi zresztą wszystkiego o sytuacji materialnej ludzi. Ktoś, kto znaczną część pensji oddaje właścicielowi mieszkania, płaci wysokie rachunki za energię i coraz więcej wydaje na żywność, może odczuwać wzrost kosztów utrzymania inaczej niż wynikałoby to ze statystycznych zestawień. Spór dotyczy więc czegoś więcej niż kilku dziesiątych procenta. Chodzi o to, czy polityka płacowa ma jedynie chronić pracowników przed najdotkliwszymi skutkami drożyzny, czy rzeczywiście poprawiać ich położenie.

Trudno w tej sprawie odmówić Zandbergowi racji. Nie znaczy to jednak, że krytyczne przemówienie z sejmowej mównicy rozwiązuje problem, podobnie jak nie rozwiązują go ministerialne wyliczenia. Nowa Lewica uczestniczy w rządzeniu już dostatecznie długo, aby jej działalność oceniać nie tylko na podstawie deklaracji. Nie był to czas całkowicie stracony. Przywrócenie publicznego finansowania in vitro jest rzeczywistym osiągnięciem, wprowadzenie renty wdowiej, mimo jej ograniczeń, poprawiło sytuację części starszych ludzi, a reforma Państwowej Inspekcji Pracy daje nowe możliwości przeciwdziałania nadużywaniu umów cywilnoprawnych. Są to sprawy ważne, dotykające codziennego życia konkretnych ludzi, i nie ma powodu ich pomniejszać. Tyle że renta wdowia nie rozwiązuje problemu ubóstwa emerytów, reforma PIP sama nie zakończy patologii na rynku pracy, a finansowanie in vitro nie zastępuje praw reprodukcyjnych. Tymczasem w wypowiedziach polityków Nowej Lewicy coraz częściej pobrzmiewa samozadowolenie, jakby każde ustępstwo koalicjantów było dowodem na zasadniczą zmianę sytuacji społecznej.

Najbardziej widoczne jest to w sprawach praw kobiet i osób LGBTQ+. W kampanii 2023 roku Lewica zapowiadała legalną aborcję do dwunastego tygodnia ciąży, równość małżeńską i związki partnerskie. Po kilku latach rządzenia aborcja nadal pozostaje przedmiotem politycznych targów, a pełna równość małżeńska nie została wprowadzona. Zamiast zapowiadanych związków partnerskich przedstawiono znacznie bardziej zachowawczy projekt ustawy o statusie osoby najbliższej, oparty w dużej mierze na umowie zawieranej przed notariuszem. Był to kompromis tak daleko idący, że trudno było w nim odnaleźć pierwotną obietnicę równości. Mimo to projekt nie wszedł w życie. Prezydent go zawetował, a Sejm nie zdołał odrzucić weta.

Odpowiedzialność za zablokowanie zmian ponoszą politycy, którzy odmawiają osobom LGBTQ+ równych praw. Nie sposób jednak pominąć odpowiedzialności za przyjętą taktykę. Katarzyna Kotula, odpowiedzialna za przygotowanie rozwiązań, miała wystarczająco wiele sygnałów, że nawet tak ograniczony projekt ma niewielkie szanse na podpis prezydenta. Mimo to przez długi czas prowadzono negocjacje nad kolejnymi ustępstwami, nie przedstawiając przekonującego planu na wypadek spodziewanej odmowy. Kompromis ma sens, kiedy pozwala osiągnąć choćby część zamierzonego celu. Jeżeli kolejne ustępstwa nie prowadzą do zmiany prawa, pojawia się pytanie, czy nie służą już przede wszystkim podtrzymywaniu wrażenia, że coś się dzieje. Ludzie, których życie miało się dzięki temu zmienić, nadal pozostają przecież w tym samym miejscu.

Podobne wątpliwości budzi przedstawianie możliwości uznawania w Polsce małżeństw jednopłciowych zawartych za granicą jako wielkiego sukcesu polityki rządowej. Orzeczenia europejskich i polskich sądów mają istotne znaczenie i mogą poprawić sytuację wielu par. Są jednak przede wszystkim rezultatem wieloletniej walki samych zainteresowanych o swoje

prawa, a nie spełnieniem wyborczej obietnicy wprowadzenia równości małżeńskiej. Państwo, które nadal nie pozwala swoim obywatelom zawrzeć małżeństwa z osobą tej samej płci, może zostać zobowiązane do uznania określonych skutków prawnych małżeństwa zawartego w innym kraju. To ważny krok, ale trudno nazywać go pełną równością, a jeszcze trudniej przedstawiać jako sukces ugrupowania, które obiecywało znacznie więcej. Podobnie w przypadku praw kobiet: administracyjne próby poprawienia dostępu do świadczeń w granicach obowiązujących przepisów nie zastępują zapowiadanej liberalizacji prawa aborcyjnego.
Nie mniej rozczarowujący jest bilans obietnic gospodarczych i społecznych. W kampanii wyborczej zapowiadano budowę mieszkań na tani wynajem, skrócenie tygodnia pracy do 35 godzin, dłuższe urlopy, pełnopłatne zwolnienia chorobowe, poprawę dostępności ochrony zdrowia i tańsze leki. Część tych propozycji doczekała się projektów, pilotaży lub ograniczonych rozwiązań, ale trudno dostrzec zapowiadaną zmianę w codziennym życiu większości pracowników. Szczególnie dotkliwie widać to na rynku mieszkaniowym. Jedni odziedziczyli nieruchomości, inni kupują kolejne jako lokatę kapitału, podczas gdy coraz większa grupa ludzi przeznacza znaczną część zarobków na czynsz albo ratę kredytu. Mieszkanie stało się jednym z najważniejszych wyznaczników pozycji społecznej, a zarazem źródłem dochodów tych, którzy już posiadają kapitał. Lewica powinna dostrzegać w tym jeden z podstawowych współczesnych konfliktów klasowych. Tymczasem zamiast wyraźnego przełomu w publicznym budownictwie mieszkaniowym oglądamy kolejne zapowiedzi, programy i spory o dopłaty, które nie rozwiązują problemu niedostępności mieszkań.
Podobna sprzeczność pojawia się w polityce płacowej i stosunkach pracy. Rząd może wskazywać na reformę Państwowej Inspekcji Pracy, rentę wdowią czy inne rozwiązania poprawiające sytuację określonych grup społecznych, ale nie zmienia to faktu, że zasadnicza część programu Lewicy pozostała niezrealizowana. Nowa Lewica tłumaczy to ograniczeniami koalicji, oporem liberalnych i konserwatywnych partnerów oraz stanowiskiem prezydenta. Są to przeszkody rzeczywiste, których nie sposób pomijać. Nie zwalniają jednak z pytania o polityczną cenę uczestnictwa w rządzeniu. Jeżeli najważniejsze postulaty dotyczące mieszkań, czasu pracy, wynagrodzeń i usług publicznych przez kilka lat pozostają w sferze zapowiedzi, trudno przedstawiać bilans współrządzenia jako pasmo sukcesów. Tym bardziej że wyborcy mają prawo oczekiwać nie tylko informacji o tym, co udało się uchwalić, lecz również uczciwego wyjaśnienia, z czego zrezygnowano, kto blokował zmiany i dlaczego mimo tych ograniczeń uznano dalsze uczestnictwo w koalicji za najlepszą dostępną strategię.
W tym kontekście szczególnie niefortunnie wyglądają ostre ataki Agnieszki Dziemianowicz-Bąk i innych polityków Nowej Lewicy na Razem. Można nie zgadzać się z ocenami Zandberga i wskazywać błędy jego partii, ale odpowiadanie na krytykę sytuacji pracowników zarzutami o polityczne pozoranctwo czy brak merytoryczności nie służy dobrze nikomu. Zwłaszcza że część tej krytyki dotyczy spraw, które sama Nowa Lewica jeszcze niedawno uważała za podstawowe. Nie oznacza to jednak, że Razem może bez większych problemów przyjąć rolę surowego recenzenta rządowej lewicy. Także to ugrupowanie ma za sobą lata decyzji, z których powinno się rozliczyć.
Przez pierwszą część obecnej kadencji parlamentarzyści Razem funkcjonowali we wspólnym klubie Lewicy. Partia nie weszła do rządu, ale przez długi czas nie potrafiła jednoznacznie określić własnego stosunku do koalicji. Ostatecznie zdecydowała się na samodzielność i przejście do opozycji, lecz stało się to dopiero po wielu miesiącach politycznego zawieszenia. Trudno oprzeć się wrażeniu, że przez pewien czas próbowano zachować korzyści wynikające z bliskości obozu rządzącego, nie ponosząc pełnej odpowiedzialności za jego działania.

Warto przypomnieć sprawę Pauliny Matysiak. Posłanka krytykowała rząd i próbowała budować współpracę ponad podziałami wokół inwestycji infrastrukturalnych. Jej porozumienie z Marcinem Horałą mogło budzić uzasadnione zastrzeżenia, szczególnie wobec polityki PiS i różnic pomiędzy prawicą a lewicą. Nie oznacza to jednak, że każda próba współpracy w konkretnej sprawie musi być uznawana za zdradę własnego środowiska. Razem zareagowało na samodzielność Matysiak bardzo ostro, a później samo zaczęło coraz mocniej podkreślać potrzebę niezależności od rządu. Ostateczne usunięcie posłanki z partii nastąpiło już po wyjściu Razem ze wspólnego klubu parlamentarnego. Nie należy więc upraszczać chronologii wydarzeń, ale polityczna sprzeczność pozostaje widoczna. Partia domagająca się niezależności od innych ugrupowań miała jednocześnie problem z zaakceptowaniem niezależności we własnych szeregach.

Znacznie ważniejsze jest jednak pytanie o to, co Razem zrobiło z czasem i możliwościami, jakie otrzymało. Dwie kadencje parlamentarne, publiczne finansowanie działalności, dostęp do mediów, biura poselskie i rozpoznawalni politycy to zasoby, o których większość niewielkich organizacji lewicowych może tylko marzyć. Po tylu latach można byłoby oczekiwać ugrupowania posiadającego trwałe struktury terenowe, obecnego w samorządach, środowiskach pracowniczych, związkach zawodowych i lokalnych sporach społecznych. Tymczasem trudno dostrzec sukces organizacyjny odpowiadający skali tych możliwości. Razem ma działaczy i lokalne inicjatywy, niektóre naprawdę wartościowe, ale nie zdołało zbudować szerokiego, trwałego zaplecza społecznego ani sieci organizacyjnej, która dawałaby mu rzeczywistą niezależność od parlamentarnej koniunktury.

Trudno również uznać za dobrze prowadzoną politykę wizerunkową ugrupowania, którego najbardziej rozpoznawalnym elementem pozostaje jeden polityk. Adrian Zandberg potrafi przemawiać, a jego wystąpienia niejednokrotnie trafnie punktują słabości przeciwników. Ale popularność Zandberga nie jest jeszcze popularnością Razem. Można mieć znanego lidera i jednocześnie nie posiadać partii, której nazwa, program oraz lokalni przedstawiciele są równie dobrze rozpoznawani przez wyborców. Partia nie może opierać przyszłości wyłącznie na talencie retorycznym lidera. Potrzebuje ludzi, struktur i społecznego zakorzenienia, także tam, gdzie nie docierają telewizyjne kamery.

Trudno nie zapytać, dlaczego tak się stało. Czy zabrakło umiejętności organizacyjnych, czy też zbyt długo zakładano, że dobry program i obecność w mediach wystarczą do zdobycia trwałego poparcia? A może wygodniej było funkcjonować jako niewielkie, ideowo zwarte środowisko niż podjąć trud budowania szerokiej partii, w której nie wszyscy myślą jednakowo? Nie sposób odpowiedzieć na te pytania bez znajomości wewnętrznego życia ugrupowania. Można jednak ocenić rezultat. Po dwóch kadencjach parlamentarnej obecności Razem nadal stoi przed zadaniem, które powinno było rozwiązać znacznie wcześniej: zbudowaniem własnej, społecznie zakorzenionej organizacji politycznej.

Największy problem polega na tym, że obie formacje zachowują się chwilami tak, jakby ich najważniejszym przeciwnikiem była druga część parlamentarnej lewicy. Tymczasem prawica umacnia swoją pozycję, a jej najbardziej radykalne środowiska coraz skuteczniej zagospodarowują społeczne niezadowolenie. Nie dzieje się to wyłącznie dlatego, że ludzie nagle pokochali nacjonalizm czy autorytaryzm. Część wyborców rzeczywiście podziela takie poglądy, ale inni szukają po prostu kogoś, kto powie im, że obecny porządek nie jest jedynym możliwym. Jeżeli lewica ogranicza się do obrony częściowych reform albo wzajemnego oskarżania o zdradę ideałów, pozostawia ogromną przestrzeń ludziom obiecującym radykalną zmianę.

Problem w tym, że antysystemowość skrajnej prawicy często kończy się tam, gdzie zaczyna się pytanie o własność. Narodowy przedsiębiorca nadal pozostaje przedsiębiorcą, pracownik nadal zależy od pracodawcy, a konflikt o podział dochodu zostaje zastąpiony konfliktem o tożsamość, pochodzenie i narodową lojalność. W niedawnym felietonie „Nie każdy wróg mojego wroga jest towarzyszem" pisałem o niebezpieczeństwach szukania przez część lewicy sojuszników w środowiskach narodowych, panslawistycznych czy skrajnie konserwatywnych. Warto tę myśl przypomnieć również dzisiaj. Lewica nie odzyska wiarygodności, pożyczając radykalizm od narodowców ani szukając patrona wśród liberalnych elit. Musi ponownie przedstawić własny projekt społeczny jako realną alternatywę.

Nie oznacza to jednak, że powinna zrezygnować z porozumienia we własnym środowisku. Zbliżające się wybory parlamentarne powinny skłonić Nową Lewicę i Razem przynajmniej do rozmów o zasadach wzajemnej rywalizacji. Różnice między tymi ugrupowaniami są rzeczywiste i nie należy ich zacierać. Jedno wybrało uczestnictwo w rządzeniu, drugie ostatecznie postawiło na samodzielność opozycyjną. Nie muszą z tego powodu udawać jednej partii. Jeżeli wspólny start okaże się niemożliwy, pozostaje możliwość zawarcia paktu nieagresji, ograniczenia personalnych ataków i skoncentrowania kampanii na rzeczywistych różnicach programowych. Wyborcy mają prawo wiedzieć, czym te partie się różnią, ale nie muszą codziennie oglądać kolejnego odcinka rodzinnej awantury.

Tym bardziej że lewica nie kończy się na Nowej Lewicy i Razem. Poza parlamentem działają środowiska socjalistyczne, organizacje pracownicze, inicjatywy lokatorskie, stowarzyszenia społeczne i ludzie od lat zaangażowani w obronę praw obywatelskich, pokoju oraz sprawiedliwości społecznej. Bez ich doświadczenia i społecznego zakorzenienia trudno mówić o odbudowie szerokiego ruchu lewicowego. To właśnie tutaj należałoby rozpocząć poważniejszą rozmowę. Nie o tym, komu przypadnie kolejne miejsce na liście wyborczej, lecz o tym, jaką Polskę lewica zamierza zaproponować po 2027 roku. Czy będzie to państwo, w którym mieszkanie pozostaje towarem, szpital musi przede wszystkim bilansować koszty, a pracownik zadowalać się podwyżką minimalnie przekraczającą prognozowaną inflację? Czy też państwo zdolne ograniczać nierówności, rozwijać usługi publiczne i prowadzić politykę zagraniczną, w której bezpieczeństwo nie jest utożsamiane z nieustanną eskalacją zbrojeń?

W takiej debacie swoje miejsce powinny znaleźć również środowiska lewicy pozaparlamentarnej, które krytycznie odnosiły się zarówno do działań Nowej Lewicy, jak i Razem. Dobrym miejscem rozpoczęcia takiej rozmowy mógłby stać się „Przegląd Socjalistyczny", przy organizacyjnym wsparciu jego wydawcy, stowarzyszenia Porozumienie Socjalistów. Nie jako kolejna próba stworzenia odgórnego komitetu jedności lewicy ani przedsięwzięcie mające rozdzielać przyszłe mandaty, lecz jako przestrzeń otwartej debaty, w której uczestniczyliby przedstawiciele różnych nurtów lewicy parlamentarnej i pozaparlamentarnej, działacze związkowi, samorządowcy oraz ludzie związani z ruchami społecznymi. Takie spotkanie nie powinno zaczynać się od żądania deklaracji lojalności wobec któregokolwiek ugrupowania. Powinno natomiast wymagać odwagi mówienia o sprawach niewygodnych: militaryzacji, kosztach zbrojeń, prawach człowieka, mieszkalnictwie, własności, stosunkach pracy, kryzysie usług publicznych i odpowiedzialności za niespełnione obietnice.

Lewica przez ostatnie dekady wielokrotnie przekonywała, że musi wybierać pomiędzy realizmem a wiernością własnym ideałom. W praktyce realizm zbyt często oznaczał zgodę na cudze priorytety, a wierność ideałom ograniczała się do kolejnych deklaracji programowych. Tymczasem potrzebna jest polityka zdolna połączyć jedno z drugim:

radykalna w rozpoznawaniu źródeł nierówności, ale odpowiedzialna w proponowaniu sposobów ich przezwyciężania. Trzeba przestać traktować wyborcę jak odbiorcę reklamowych komunikatów o sukcesach, a zacząć jak człowieka, który ma prawo rozliczyć polityków z tego, co obiecywali.

W przeciwnym razie Nowa Lewica nadal będzie przekonywać, jak wiele osiągnęła, Razem będzie tłumaczyć, jak wiele można było osiągnąć, a skrajna prawica spokojnie zajmie się przekonywaniem rozczarowanych, że cała lewica nie ma już niczego do zaoferowania. Byłoby szczególnie gorzką ironią, gdyby po latach sporów o to, kto jest bardziej lewicowy, okazało się, że obie strony najskuteczniej pracowały nad tym, aby lewica przestała być potrzebna wyborcom.

Wybory w 2027 roku nie rozstrzygną jedynie tego, ilu posłów będzie miała lewica. Pokażą również, czy potrafi ona jeszcze reprezentować interesy ludzi pracy jako samodzielna siła polityczna, czy też pogodziła się z rolą dodatku do cudzych projektów.

Czesław Kulesza